

Na krakowskich Plantach leży kupa liści¹...

Władysław Stefaniuk



Detroit, 17 listopada 1966 r.

MOJA KOCHANA "WISŁO"!

Z największą radością, tak po prostu od serca, piszę tych kilka szczerych słów do Ciebie "Wisło", z okazji Twojego 60-ego Jubileuszu, bo ani czas, ani przestrzeń nie zdołały zatrzeć w moim sercu i umyśle... wspomnień.

Dla nas, Polaków w Ameryce, ogromne znaczenie ma Poczta. Listy, czasopisma, wycinki z prasy, książki, w ogóle wszystkie przesyłki z kraju, odgrywają niesłychanie ważną rolę w naszym życiu. Jednym z czasopism, które regularnie co tydzień, pocztą lotniczą, przesyła mi z Krakowa mój niezawodny młodszy brat Kazek, jest "Tempo".

Ta przesyłka, upiękaszona jeszcze starannie dobieranymi polskimi znaczkami, przychodzi już w piątek lub sobotę (5 dni), a treść jej decyduje o moim niedzielnym humorze i nastroju. Ucieszywszy wzrok przepięknymi znaczkami, które niemal natychmiast - ubiegając zręcznie konkurencyjnych filatelistów - zbiera moja 16-letnia chrzestna córeczka Basia, przerzucam z niecierpliwością stronicę "Tempa". Czy Polska zwyciężyła? Czy nasi lekkoatleci pobili Niemców? Jak się spisala Wisła?

¹ „... najpiękniejsi chłopcy, to są futboliści” - Pierwsze wersy fraszki „Krakowiaczki, wiślaczki”, napisanej przez Ludwika Jerzego Kerna na Jubileusz 50-lecia Wisły

Staram się przeczytać "Tempo" przed wyjściem do pracy, aby je potem zostawić mieszkającym ze mną kolegom, równie jak ja spragnionym wieści z Polski. Potem, w możliwie najkrótszym czasie, wędruje ono do Chicago, gdzie z równym utęsknieniem oczekuje go inny wielbiciel Wisły, Stasiu Szczurek, jeszcze do niedawna czynny, doskonały piłkarz.

Więc mimo upływu wielu lat nic się właściwie nie zmieniło. Dawniej wystawaliśmy niedzielnymi wieczorami pod "Kurierkiem" na Wielopolu² i zadzierając nosy do góry, oczekiwaliśmy wiadomości "Jak wyszła Wisła"? Dziś oczekujemy z utęsknieniem na nadejście "Tempa", aby dowiedzieć się tego samego: jak wyszła Wisła?

A jak się to wszystko zaczęło?... Wraz z gromadką innych małych urwipolców wychowywałem się w zabytkowym domu przy ulicy Basztowej 8, który miał tę zaletę, że stanowił bazę wypadową na wspaniałe tereny sportowe, to jest na krakowskie Planty. W latach I wojny światowej i zaraz po jej zakończeniu uprawialiśmy tam różne dyscypliny sportowe: brawurową jazdę na sankach, skleconych z jakiejś paczki, z góry pod pomnikiem Jadwigi i Jagiełły, biegi krótko i długodystansowe koło Lilli Wenedy, wyścigi na jednej zardzewiałej łyżwie (przywiązanej sznurkiem do dziurawego nieraz buta) na zamrzniętych resztkach sadzawki "pod łabędziami", no i mało przepisowy, ale bardzo zapalczywy... boks.



Krakowskie Planty

² W Pałacu Prasy przy ulicy Wielopole w Krakowie swoją siedzibę miała redakcja Ilustrowanego Kuriera Codziennego. W witrynie zawieszano najświeższe wiadomości i było to miejsce, w którym najszybciej w Krakowie można było poznać wyniki sportowe z całego kraju.

Natomiast na podwórku rozgrywaliśmy pod czujnym okiem starszych o kilka lat: Stefka Nowaka, Mańka Kilińskiego i Józka Parafińskiego, kandydatów na zawodników Wisły, oraz kibica nad kibice, pana Nestka Kotarby, fundatora licznych nagród w postaci bułek z kiełbasą i cukierków - zacięte boje w "szmaciankę". Była to jedyna osiągalna wówczas piłka, nie tylko dla nas, ale i dla starszej młodzieży. Spreparowana kunsztownie ze starannie dobieranych gatunków starych pończoch i skarpetek, miała tę dobrą stronę, że można było grać w nią nawet bos.

W niedzielę zaś chodziliśmy oglądać mecze z "zielonej trybuny" to znaczy po prostu z drzew otaczających blisko Wisły. Właściwie serce mieliśmy jeszcze wolne, z równym zapalem oklaskiwaliśmy Wisłę, jak i doskonałą w owym czasie Cracovię.



„Zielone trybuny” na stadionie Wisły

Ale wreszcie nadszedł decydujący zwrot w moim życiu. Pewnej niedzieli, przed "świętą wojną", czyli spotkaniem Wisła - Cracovia, ujrzała mnie na drzewie moja siostra, idąca również na derby (nic dziwnego, Maniek Kiliński był w tym dniu rezerwowym bramkarzem). Zawstydzona ściągnęła mnie z drzewa i dała złotówkę na bilet. W ten sposób po raz pierwszy przekroczyłem oficjalnie próg boiska Wisły i to w tak uroczystym

dniu! Chyba wszyscy starzy kibice pamiętają ten mecz. Do przerwy stan 5:1 dla Cracovii. Wszyscy się załamali z wyjątkiem... graczy. W drugiej połowie spotkania zbierają wszystkie siły i kończą zawody wynikiem 5:5. Tym wyczynem zdobyła Wisła moje serce na zawsze i dała mi wielką lekcję na przyszłość: że nie ma beznadziejnych sytuacji ani w sporcie, ani w życiu³.

Dalszego ciągu łatwo się chyba domyśleć. W krótkim czasie, idąc w ślady mojego starszego brata Olka, który z Kazikiem Sołtysikiem i całą młodzieżową drużyną "Świt" (kto ją jeszcze pamięta?) przeszedł do Wisły, zostałem zawodnikiem. Na meczu z Krowodrzą strzeliłem bramkę głową (!), nawet tego nie zauważywszy. Uświadomił mi ten fakt uradowany Staszek Szczepanik. Niestety, taka okazja już mi się więcej nie trafiła.

Wielkim przeżyciem była dla mnie gra przy boku Artka Woźniaka (do dziś dnia jestem z tego dumny jak ów Amerykanin, który miał zaszczyt uścisnąć rękę prezydenta Stanów Zjednoczonych) - następnie idealne niemal współdziałanie z doskonałym skrzydłowym Antkiem Łyko, oraz współpraca z zawodnikiem o dużej kulturze sportowej Marianem Sawickim i wielu innymi dobrymi piłkarzami i serdecznymi kolegami.

Artura podziwiałem na boisku, gdy w młodym wieku grał razem z Adamkiem, Reymanem i Balcerem, niedanym mi było natomiast widzieć Gracza, Giergiela i Kohuta w okresie ich szczytowej, reprezentacyjnej formy⁴. U Giergiela oprócz kunsztu piłkarskiego podziwiałem radosne usposobienie, o Kohucie słyszałem, że był to jeden z najbardziej rasowych piłkarzy.

Piłka nożna zapoczątkowała moją serdeczną przyjaźń z Władkiem Szumilasem ("Huczy-puszczą"), a późniejsza współpraca w sekcji gier sportowych i różnych pracach jak malowanie boiska, odnoszenie zawiadomień do zawodników, noszenie walizek z kostiumami i pantoflami - przyjaźń tę utrwaliła i pogłębiła. Władek był jednym z najbardziej oddanych Wiśle chłopców, jeden z najbardziej utalentowanych i wytrwale pracujących nad sobą sportowców, miał szlachetny charakter i był wiernym przyjacielem. Nigdy go nie

³ 1925.05.03 Wisła Kraków - Cracovia 5:5

⁴ Zawodnicy ci szczyt swojej sportowej kariery osiągnęli po II Wojnie Światowej, gdy Stefaniuk przebywał już w USA. Autor niniejszych wspomnień w czasie Kampanii Wrześniowej dostał się do niemieckiej niewoli. Uciekłszy z niej trafił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a po wojnie zamieszkał w Stanach.

zapomnę i nie zapomnę, jak głęboko byłem wstrząśnięty wiadomością, że zginął w Oświęcimiu, dzieląc tragiczny los naszych wybitnych sportowców - Patriotów, zamordowanych przez hitlerowców. Ja zawdzięczam mu wiele radosnych chwil w życiu, a sekcja pingpongowa (Krzysiu Herbst, Tadziu Mianowski, Józek Ganobis, Antek Kwolewski, Zbyszek Nowicki, pan Władysław Żak) liczne zwycięstwa w bojach z groźną koalicją: Makkabi, Hakoah i Hagiborem. To przecież Władek Szumilas był jednym spośród nas, który pokonał Mistrza Polski Ehrlicha.

W siatkówce, koszykówce i szczypiorniaku, nazwanym później słusznie piłką ręczną, nie odnosiliśmy w tym czasie większych sukcesów, chociaż mieliśmy kilku dobrych zawodników - Edek Skucha, Jurek Klein, Józek Wolf, Jurek Drozdowicz, Zygmunt Ciepły - oraz świetnych kierowników, najpierw kpt. Zakrzewskiego, następnie dr. Gorzeńskiego. Inaczej było w następnych latach, kiedy dojrzał fizycznie utalentowany Jacek Arlet, no a teraz? "Wawelskie Smoki"! Wisła Pany!.

Z ping-pongiem, koszykówką, a właściwie z każdym działem sportu związana była malownicza postać popularnego "Pindrusia" (Zdzisław Lublin) utalentowanego organizatora życia towarzyskiego naszej gromadki.

Mniej więcej w latach 30-tych ognisko Wisły mieściło się w jednym z domów przy ul. Długiej, w skromnym pomieszczeniu zwanym szumnie lokalem. Rozwinęło się tam przemile życie towarzyskie, a życie towarzyskie klubu sportowego to ważny przyczynek do powodzenia na boisku. Bywały tam przemile dziewczęta z sekcji pań (Mila Czyżewiczówna, Wiśka Ciepła i jej siostra i inne). Często zaszczycał lokal swoją obecnością sam kpt. Henryk Reyman i to nie tylko w czasie niedzielnych herbatek i uroczystych przyjęć, ale i w dzień powszedni. Tam właśnie wielkim blaskiem jaśniały towarzyskie talenty dziewcząt i chłopców, tam śpiewaliśmy niezapomniane do dziś melodie: "Jak długo na Wawelu...", "Wisła klub najstarszy...", "Na krakowskich Plantach leży kupa liści..." - dorabiając zależnie od okoliczności dodatkowe zwrotki i to jakie zwrotki! ("W herbie mają gwiazdę na czerwonym polu - Raymana na centrze - Kilińskiego w голу!" albo: "Wyrzucili Stefka na gnojową kupę, obstawili w koło, całują go w czoło!")

Z tego skromnego lokalu przy ulicy Długiej przenieśliśmy się do wspaniałych, chociaż mocno zniszczonych salonów w pałacyku przy ul. Wielopole 4. Może było to dawniej mieszkanie słynnego doktora Pareńskiego, może w tych właśnie pokojach pani

Eliza Pareńska gościła Wyspiańskiego, Rydla, Tetmajera i całą elitę artystyczną Krakowa, może tu doktor Tadeusz Żeleński, późniejszy niezrównany "Boy", starał się o rękę Zosi Pareńskiej?...

Hej! Łza się w oku kręci, albowiem w tym mieszkaniu dokonała się zbrodnia artystyczna! Przepiękny, olbrzymi obraz olejny, portret drużyny piłkarskiej Wisły, dzieło mistrzowskie wielkiego sympatyka Wisły artysty malarza Vlastimila Hoffmana, wieloletniego honorowego prezesa, zostaliśmy pewnego dnia leżące na podłodze, podeptane i uszkodzone. Nie dowiedzieliśmy się nigdy, kto to zrobił, ale faktem jest, że nam się w tym lokalu nie wiodło. Nie wrócił już dawny, miły, beztroski nastrój, rozwiązano sekcję pań, brakło podniety do większych wyczynów sportowych. Pozostały tylko karty i dowcipne, ale niesławne powiedzenia: "Karta lubi dym".

Ale to wszystko nic wobec rumieńca wstydu, który oblewa moją twarz do dnia dzisiejszego. W okresie, kiedy straciliśmy kierownika sekcji gier sportowych i nie można było znaleźć następcy, a ja byłem bardzo zawiedziony i zniechęcony i w dodatku bez pracy, przedstawiciel jednego z rywalizujących klubów przystąpił do mnie z nęcącą propozycją: o ile zgodzę się przejść do ich, silnego z resztą, zespołu gier sportowych, postarają się o posadę. Zgodziłem się, posady nie otrzymałem, za to przyłgnęło do mnie na długi czas słowo "judasz".

I chociaż przeżyłem w tym zespole wiele dobrych chwil, a gra z jednym z najlepszych siatkarzy Jasiem Seifertem i innymi doskonałymi zawodnikami i zawodniczkami dała mi dużo satysfakcji, to słowo dźwięczy mi w uszach po dziś dzień. Przytaczam to - może zbyt osobiste - wspomnienie, aby ostrzec innych, że nie warto zmieniać barw klubowych, lepiej jest trwać wiernie przy macierzystej drużynie, tak w chwilach trudnych, jak i pełnych chwały.

Na szczęście dezercja moja nie trwała zbyt długo i ucieszyłem się bardzo, gdy - niestety dziś już nieżyjący - Borys Dobija zajął się organizowaniem nowej sekcji i przewrócił mnie na łono mojego zespołu wiślackiego.

Choraławka odwróciła się i nowy zespół zaczął wkrótce odnosić poważne sukcesy, których autorem był często strzelec światowej klasy Paweł Stok (z radością dowiedziałam się później, że oprócz niezliczonej ilości koszy, zdobył również tytuł naukowy).

Niestety przyszła wojna, przerwała na jakiś czas wszelką działalność i zerwała łączność z przyjaciółmi spod znaku Wisły. Ale potem szybko nawiązaliśmy kontakt, zaczęły nadchodzić listy i pamiątki, z których najpiękniejszą jest chyba "Szczербiec" wykonany z okazji zdobycia w 1965 roku tytułu Mistrza Polski w koszykówce przez nasze dzielne dziewczęta. Przechowuję ten skarb z największą troskliwością i należnym pietyzmem, podobnie jak przechowuję w sercu każde wspomnienie o Wiśle.

A teraz, kiedy już muszę zakończyć pisanie tego listu, życzę Ci, kochana Wisło, dalszych długich lat pożytecznej i owocnej działalności, życzę Ci licznych zastępów zdrowej młodzieży, która by pod mądrym kierownictwem wypełniała tezę, że sport nie jest celem samym w sobie, ale środkiem i sposobem w formowaniu osobowości; życzę Ci droga Jubilatko wiernych sympatyków, którzy by nigdy nie opuszczali zespołu, oraz takich kibiców, jak Ci dwaj mali chłopcy, którzy po pewnym przegranym meczu z Cracovią znaleźli się u boku Henryka Reymana, aby go pocieszyć, a usłyszeli od niego zapewnienie: poczekajcie, przyjdą i oni na nasze podwórko; życzę ci wielu reprezentantów, którzy by rozstawiali po świecie imię Polski.

I życzę Ci, aby spełniły się słowa piosenki: "Wisła klub najstarszy, wszystkie inne bije...".

Władysław Stefaniuk

Wspomnienia Władysława Stefaniuka zostały pierwotnie opublikowane w „Tempie” w 1967 roku w ramach konkursu „Jubilatka we wspomnieniach”. Konkurs zorganizowano przy okazji obchodów Jubileuszu 60-lecia Wisły Kraków. W 2017 roku powtórnie zredagował te wspomnienia portal historiawisly.pl, wprowadzając drobne poprawki i dodając zdjęcia. Wszystkie przypisy pochodzą od redakcji historiawisly.pl. Skany pierwotnego wydania udostępniła Biblioteka Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.